

Wiesław Wyszyński

część II z III

Sygnatura notacji: **N1443**

Data urodzenia: **28.02.1938 r.**

Data nagrania: **08.07.2020 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Giżycko, Polska.**

Prowadzący rozmowę: **Tomasz Sikorski, Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 57 min, część II: 56 min, część III: 49 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Wiesław Wyszyński: Proszę panów, więc z tego Pruszkowa uciekliśmy i błąkaliśmy się, czort wie gdzie, nie wiem gdzie nawet, w każdym razie do tych ziemian nie dotarliśmy. Ja odzyskałem świadomość będąc już w obozie, przy czym to był jakiś obóz przejściowy, też chyba w tej samej miejscowości, ale jakiś taki luksusowy. Luksusowy, dlaczego? Nie zmuszano... Aha, w tym obozie, aha, jeszcze jedna ważna rzecz, były same kobiety. Ze starszego naboru, że tak żartobliwie powiem, były Rosjanki, bardzo dużo Rosjanek i 20 Polek, matka i jeszcze 20 innych kobiet wygonionych z Warszawy po Powstaniu Warszawskim. 20 Polek i około 80 Rosjanek. Te Rosjanki były już tam dawniej. Najpierw byliśmy w jakimś takim, chyba przejściowy, pokazowy obóz, aczkolwiek w tej samej miejscowości, chyba w Berkfelde. Dlaczego tak sądzę? Luksusowe warunki, w cudzysłowie oczywiście, przede wszystkim na wstępie nas wykąpano, do ogromnej łaźni nas wprowadzono, zresztą mieliśmy ogromne obawy, jak zobaczyliśmy, że do tej łaźni mamy iść, ponieważ duża łaźnia, masę pryszniców, a już powszechnie wiadomo było, że Niemcy w rzekomych łaźniach gazują więźniów i potem palą. Także przestraszyliśmy się z początku, ale okazało się, że to rzeczywiście autentyczna łaźnia. Wykąpano nas, nawet zastanawiałem się, jakim cudem matka mnie przemyciła, bo więcej dzieci tam nie było, same kobiety i ja. Więc wykąpano nas i do baraku potem, przy tym barak był też taki, kategorii „S”, powiedzmy, prycze lakierowane, centralne ogrzewanie, do roboty nas nie goniono, karmiono podle w prawdzie, tak jak zawsze, ale było tam dosyć znośnie. I później stała się taka niecodzienna rzecz, przyszła zwiedzać ten obóz jakaś grupa ludzi w białych fartuchach, wysocy blondyni, z nami nie rozmawiali, ale tak jakby wizytowali, sprawdzali, jakie warunki mamy. Któraś z tych pań, które były z nami, zorientowana nieco w językach obcych, podsłuchiwała rozmowy tych ludzi i powiedziała, że to chyba byli Szwedzi. I zaczęliśmy się, znaczy nie ja, ale tam kobiety jak rozmawiali, domyślały się, że to była jakaś komisja z jakiejś organizacji międzynarodowej, która badała warunki jeńców. I być może dlatego ten obóz był takiej wysokiej klasy. I tam

byliśmy krótko, i tam zdarzył się taki śmieszny trochę incydent, ponieważ nie pracowaliśmy i mogliśmy z baraku wychodzić na zewnątrz, teren był ogrodzony siatką, pamiętam, że rosły gęsto takie świerki duże. Ja wychodziłem często na podwórkę i podszedłem do bramy. Przy bramie był taki pawilonik, w którym siedział dozorca jakiś. Ja podszedłem do bramy, ta brama była wahadłowa, taka dwuskrzydłowa. I dotknąłem tej bramy, okazało się, że ta brama się buja, wobec tego uczepliłem się tej bramy i tak się lekko huśtałem. I wtedy z tej portierni wyskoczył jakiś mężczyzna starszawy, taki Niemiec, i zaczął wydzierać się na mnie tak okropnie, uznał chyba, że ja chcę uciec albo że demonstruję jakoś chęć ucieczki. I zachowałem się dosyć śmiesznie. Nie wiem skąd mi przyszła w tym momencie znajomość niemieckiego. Jak ten szwab się na mnie tak wydzierał, to ja dumnie się odwróciłem, powiedziałem „Nicht für stehen” i odszedłem. I on dał mi spokój, nie gonił mnie. No, ale w tym obozie byliśmy bardzo krótko i przeniesiono nas natychmiast do drugiego obozu, który mam tutaj, ze zdjęcia satelitarnego wydrukowałem sobie obecny widok na ten obóz. Jak panowie będą chcieli to sfilmować, to bardzo proszę. I w tym obozie to było jakieś przedsiębiorstwo „Apparate und Gerätebau für Gesellschaft”, czyli jakaś spółka akcyjna chyba i przedsiębiorstwo jakieś o charakterze budowlanym. I tam dali ten sam skład osób, 80 Rosjanek w takim dużym baraku i 20 Polek, tak około, w takim mniejszym jakimś domku. I my byliśmy zatrudniani, tam już się skończyły pieszczoty, już trzeba było pracować i podle żarcie i podle warunki, łącznie z biciem. Nie pilnowała nas jakaś tam specjalna służba obozowa, po prostu ten przedsiębiorca, który miał to przedsiębiorstwo był naszym szefem. On nas pilnował przy pomocy swoich pracowników Niemców, nas zmuszał do pracy, nas żywił i nas katował. Zatrudniani byliśmy głównie do prac rozbiórkowych przy zbombardowanych budynkach, ponieważ od tego Bergfelde w odległości kilkunastu kilometrów jest taka miejscowość istniejąca dotychczas, Oranienburg, tam były fabryki zbrojeniowe i w związku z tym często naloty alianckie tam były. I jak to przy ówczesnej technice wojskowej, jak posypali tych bomb, to leciało wszystko w okolicy i między innymi w tym Bergfelde też były burzone na skutek tych nalotów domy. I stąd ta potrzeba odgruzowywania, bo Niemcy, jak to zwykle Niemcy bardzo staranni, odzyskiwali materiały budowlane z tych rumowisk, do ponownego użytku. I myśmy właśnie czyścili te rumowiska, żeby odzyskać materiały budowlane. Wyglądało to tak, że przede wszystkim cegły odzyskiwaliśmy, że trzeba było z tych brył tego gruzu powyrywać cegły, podbijać jakoś, wyczyścić je z zaprawy murarskiej. I jak siedząc na tym gruzowisku, się kilka cegieł już oczyściło, trzeba było wziąć te kilka, trzy, cztery, pięć cegieł, ile kto mógł, zanieść na inne miejsce i ustawiać w tak zwane kozły. Bo to się fachowo nazywają kozły, takie cegły ustawione w takie bloki. No i tam właśnie doświadczyłem niemieckiej ręki, ponieważ ja byłem już osłabiony, bo wyczerpany. Miałem wtedy siedem lat. Nie byłem w stanie unieść czterech cegieł. I ten nadzorca, który nas pilnował, jak te cegły mi wypadły, miał w ręku taką blachę z numerem posesyjnym zburzonego budynku. Jak mi przypieprzył w głowę, rozwalil mi głowę. Poważnego nic mi się nie stało, rozciął mi po prostu tylko tę głowę. No i ta Halina, Ruda, która z nami była akurat w pobliżu, nie wytrzymała, podleciała do tego nadzorcy, on się Willi nazywał. I powiedziała: „Skurwysynu, za parę dni tu będą ruscy, to się z tobą policzymy”. Mimo, że Niemiec zrozumiał o co chodzi, ni stąd, ni zowąd, czystą polszczyznę powiedział „No, no, nic mu nie będzie, niech sobie odpocznie”. I faktycznie pozwolił mi odpocząć. Jak się potem dowiedzieliśmy, to przypuszczalnie był jakiś Ślązak. Ślązak, Niemiec śląski, czort go wie, w każdym razie gdzieś ze Śląska chyba pochodził, bo znał trochę polski, tylko się nie przyznawał. No i poza tym odzyskiwaniem tych materiałów budowlanych, używano nas do prac polowych, bo to już zbliżała się wiosna. W Niemczech ocieplenie klimatu następuje wcześniej. Nie wiem, co myśmy na tych polach robili. Chyba staraliśmy się z tych ugorów wynajdywać jakieś zapomniane przy poprzednich zbiorach buraki, kartofle, coś takiego. Łaziliśmy po tych polach i szukaliśmy tego typu jakichś płodów. I co ciekawe, musieliśmy to robić w czasie nalotów. To Bergfelde oddalone od Oranienburga jest o kilkanaście kilometrów, nawet w chwili obecnej. Tak że jak bomby

zrzucano z wysokości kilku kilometrów, to ten rozśiew był taki różny, że w zasadzie to Bergfelde też było bombardowane. No i byliśmy wyszkoleni w ten sposób, że jak już te bomby lecą, to trzeba było się położyć i szeroko otworzyć usta. Bo jak się miało zamknięte usta, to groziło popękaniem bębenków. A jak się miało usta otwarte, to ciśnienie było z dwóch stron, i od wewnątrz, i od zewnątrz, i można było uratować słuch. Ale torturą było co innego. Bo dobrodziejstwem dzisiejszej techniki wojennej jest to, że zanim człowiek się spostrzeże, to już nie żyje. I nie musi się bać. Natomiast wtedy jak z odległości kilku kilometrów samolot zrzucał bomby, to człowiek leżał i patrzył, że oddzielają się od tego samolotu takie koraliki, sznur koralików leci, leci. I złudzenie było takie, że to za chwilę prosto na mnie zleci. Dopiero jak one opadały niżej, to widać było, że zbaczają gdzieś tam trochę w bok. I jedynie trzeba się obawiać tej eksplozji, tego huku, ale jeszcze się przeżyje. Ale z początku to było złudzenie absolutne, że za chwilę to na mnie spadnie. I to była największa tortura, której ludzie nie wytrzymywali. Pamiętam taki incydent. Właśnie przy takim bombardowaniu, byliśmy na polach jakichś i jedna z Rosjank nie wytrzymała tego strachu przed tym spadaniem bomb, zerwała się z ziemi i zaczęła uciekać. Bezmyślnie, zupełnie, aby uciec. I biegła w kierunku pobliskiego osiedla, gdzie były domki jednorodzinne. A miała na głowie jasną chustkę, bo myśmy tam byli w swoich ubiorach, tam żadnych ubiorów więziennych nam nie dawali. Ja byłem w krótkich majteczkach przez całą zimę, tak jak wyszedłem z domu. I uciekała, a ta biała chustka za nią powiewała. I na raz, jeden z myśliwców eskortujących te bombowce zniżył lot i za tą Rosjanką, tuż nad nią przeleciał. Widocznie ci piloci uznali, że ona machając tą chustką nieświadomie, wskazywała lotnikom cel, gdzie należy bombardować. No i ten Niemiec, który nas pilnował, dogonił ją i tak ją skatował. Coś okropnego. No a poza tymi rozbiórkami, to miejscowi Niemcy wynajmowali nas do kopania ogródków, bo też zbliżała się wiosna, trzeba było ogródki kopać. To wynajmowali nas..., wynajmowali, brali po prostu jak niewolników do kopania ogródków, do jakichś prac domowych, takich porządkowych przy tych domach. Przy czym ciągle nas posądzali o kradzieże. Gdzieś tam się szwabowi coś w domu zapodziało, a była akurat jakaś kobieta tam coś robić, no to zaraz przylatywali do tego naszego obozu, że taka i taka była i ukradła coś, i bicie na poczekaniu. Sam właściciel tego przedsięwzięcia, Miller się nazywał, miał też takie upodobanie. Od czasu do czasu wzywał jakąś więźniarkę, żeby coś zrobiła w jego ogrodzie. Bo obóz był po jednej stronie ulicy, to znaczy to nie był typowy obóz, to było pod przedsięwzięcie, w którym bytowaliśmy. A po drugiej stronie ulicy, Kantstrasse 5, to była willa tego właściciela, Kantstrasse 6, to nasza siedziba. Wzywał jakąś więźniarkę, bądź kilka więźniarek do roboty, coś w ogrodzie, żeby zrobić. I miał zawsze specjalnie usypaną przymę brukwi, bo my byliśmy tam żywieni głównie brukwią. Rozgotowaną, taka breja z tej brukwi. Przyjeżdżał Niemiec z taką kuchnią polową, też więzień, nawiasem mówiąc, ale Niemiec, i nas dzielił po misce tej brukwi każdy dostawał. I ten Miller jak wzywał tam kogoś do roboty, to miał taką rozrywkę ulubioną. Wiedział, że jesteśmy wiecznie głodni i każdy chętny tę surową brukiew z tej przymy chce ukraść, żeby gdzieś tam po cichu sobie zjeść. Jak te więźniarki wezwane przechodziły w pobliżu tej przymy brukwi, to on zza firanki patrzył. Jeżeli któraś sięgnęła po jakąś tam brukiew z tej przymy, wyskakiwał z domu i lanie, i lanie. To była jego ulubiona rozrywka. Ale sprawiedliwi byli Niemcy, mówię to z ironią oczywiście. Bo jak przyjeżdżał ten Niemiec z tą garkuchnią na teren naszego obozu, dzielił nas, podchodziło się szeregiem z miską i każdemu wlewał warząchwią porcję tej breji. Kiedyś jednej z więźniarek, zamiast zaczerpnąć tak uczciwie z dna, to z wierzchu samej tej wody nalał jej do miski i kazał odejść. I ona poszła się poskarżyć do nadzorca, który nas pilnował. Pokazała mu, że dostała samą wodę bez brukwi. Podszedł do tego kucharza, przyłożył mu w łeb solidnie, mimo, że to też był Niemiec, tylko więzień, widocznie jakiś polityczny. Dał mu w łeb, powiedział: „Zmień to”. I on wziął z powrotem od tej więźniarki, jak się podniósł, oczywiście z ziemi, od tej więźniarki wziął tę miskę, ten sok wylał do koryta z powrotem, zaczerpnął uczciwie od dna. Było tam parę kostek brukwi i więźniarka dostała uczciwie, sprawiedliwie to, co jej się należało. Taka jest

niemiecka sprawiedliwość. Zresztą, jeżeli chodzi o niemieckie cechy charakteru, to proszę pana, one się uwidoczniły natychmiast po wyzwoleniu. Którejś nocy obudziliśmy się, czerwona pościła, aż ruch, jak jasna cholera w tym obozie, co się okazuje, masę żołnierzy radzieckich. W nocy niespodziewanie, to miasteczko Bergfelde w ogóle nie było bronione militarnie. W ogóle. I w nocy weszło tam wojsko radzieckie. Wyzwolili nas, o czym ciągle nam mówili: „My was wyswobodziliśmy, my za was krew przelewaliśmy”. No rzeczywiście tak było. Budzimy się, ruch jak jasna cholera, ponieważ w tym obozie były same kobiety, więźniarki. Wobec tego oczywiście jakieś zaloty od tych żołnierzy. Ganiało się to towarzystwo po tym obozie strasznie. No i jeden z tych żołnierzy... Pijani, oczywiście pijani w cztery dupy, przepraszam za wyrażenie, brudni, rozwydrzeni, ale wdzięczny im za to jestem, że tych szwabów lali jak jasna cholera. Skuteczni byli. Nie szpanowali, nie było tam megalomanii żadnej, ale skuteczni to byli. No i jeden z tych żołnierzy, „Starszyna” [stopień wojskowy] na niego inni mówili, przysiadł się do nas, ja z matką leżeliśmy na pryczy, on się do nas przysiadł: „My was aswobodzili, ja za was krow prelewał”. I trzyma w butelkę, półlitrową butelkę wody kolońskiej. I podaje matce, żeby się napiła. Matka mówi: „Nie, nie mogę”, tłumaczy mu, że tego się nie pije. „Niczewo, napijomsa” [nie szkodzi, napijemy się], i nachalnie tę butelkę podtyka. Siedzieliśmy na dolnej części dwupiętrowej pryczy, także nad nami było jeszcze to legowisko drugie. Matka w pewnym momencie, jak on stał się taki natarczywy, odtrąciła mu tę rękę z butelką i ta woda kolońska chlusnęła mu w oczy. I facet się wściekł, złapał za bagniet i chciał nas zabić tym bagnietem. Matka złapała mnie, przetoczyliśmy się przez tę prycz, na szczęście, o czym nie powiedziałem, na szczęście ograniczała mu ruchy górna prycz, że jakoś się tam zahaczył. I zdążyliśmy się przetoczyć przez tę prycz na drugą stronę, uciekliśmy, wylecieliśmy na podwórko i schowaliśmy się, bo to podwórko zawalone było kłębami różnego żelastwa kabli, jakiegoś tam czort wie czego. I tam się w tej graciarni schowaliśmy, przeczekaliśmy do rana. No i rano matka, i koleżanki Polki, postanowiły na piechotę uciekać do Polski, bo żadnego zorganizowanego transportu, jakiegś pomocy nie było. No, to zrozumiałe. Rozeszliśmy się po tym Bergfelde i pobraliśmy, u Niemców były bardzo popularne takie miniatuarki wozów konnych, drabiniastych. Takie małe wózeki, czterokołowe na żelaznych obręczach, dyszelek taki, za który można było chwycić. Niemcy to używali chodząc po zakupy, tak jak teraz się różne tam wózki używa. To było bardzo popularne i wygodne. Więc szukaliśmy takich wózków z rozbitych sklepów, gdzieś tam jakieś rzeczy, które się mogą przydać, coś do jedzenia. No i między innymi matka i koleżanki poszły do willi tego właściciela obozu, Millera. Spodziewając się, że tam od niego będzie można coś do jedzenia zabrać, żeby mieć coś zjeść na drogę, bo na piechotę chcieliśmy iść do Polski. Żadnego transportu innego nie było. Jak z tą Haliną wróciła, to mi powiedziała..., między sobą, nie mnie mówiła, ale ja słyszałem, rozmawiała tam z innymi kobietami. No i wreszcie stała się sprawiedliwość. Nie wiem, kto to zrobił, czy to ci żołnierze rosyjscy, czy więźniarki, czort wie kto. Jak matka z koleżankami poszły, to ten Miller leżał przed swoim domem i wszystkie sztucce, jakie miał w domu, widelce, noże, wszystko, co się miało w niego wbić, na żywca w niego powbijali. On wyglądał jak jeden ogromny jeź, broczył krwią, jęczał, ale jeszcze żył, jak tam matka była z tą Haliną. Tak że nareszcie się skurwysyn doczekał. No i stamtąd, jak zaopatrzyliśmy się co nieco, postanowiliśmy iść na piechotę do Warszawy. No, może nie do Warszawy, spodziewaliśmy się, że aby na teren Polski się dostać. I na piechotę szliśmy, tam dniami i nocami, marsz. Przede wszystkim, całymi dniami szliśmy jak przez pustynię. Piękna pogoda, słońce świeci, martwa cisza, żadnego człowieka, mijamy wsie, jakieś przysiółki, jakieś kolonie. Żywego człowieka nigdzie nie ma, tylko gdzieś tam się widuje martwe konie. Konie służyły wtedy do transportu środków bojowych, nawet były używane przez wojsko. No i padały, i z wyczerpania, i zabijane. I koń to jest charakterystyczne chyba, taka prawidłowość, że konie jak się zabije i pozostawi go samemu sobie, to na skutek fermentacji wnętrza on się przewraca kopytami do góry i te kopyta sterczą jak lufy armatnie. Więc nic żywego, tylko od czasu do czasu widok tych koni mierzących kopytami w niebo. Kiedyś

chcieliśmy nawet wyciąć z tego konia kawałek mięsa, żeby zjeść, bo nic nie mieliśmy. Straszny fetor powstrzymał nas. Zaczęliśmy zaglądać do mijanych domów, zupełnie puste wsie, zupełnie żywego ducha na tych terenach niemieckich. Tam, gdzie front przechodził, to Niemcy albo uciekali, nawet cywile, albo uciekali, się szalenie bali Rosjan, albo uciekali, albo popełniali nawet samobójstwa. Wchodzimy do domu, takiego na wsi, taki dom rolniczy, wchodzimy i przy stole na krzesłach siedzi cała rodzina. Niektórzy oparci tak o stół, na stole jeszcze stoi jedzenie, naczynia, zastawa. Niektórzy koło krzesel leżą na ziemi, niektórzy oparci o stół, albo rozwaleni w krzesłach, wszyscy martwi. Niemcy tak się bali Rosjan, że popełniali całe grupowe samobójstwa. I właśnie weszliśmy do takiego domu. Wszyscy martwi siedzą za stołem, albo leżą koło stołu. Ale też nie wzięliśmy nic do jedzenia, bo krząły wieści, że Niemcy przed odejściem zatrują studnie, zatrują jedzenie. Także niczego nie mogliśmy po drodze do jedzenia uzyskać. No i zaczęły się takie, z dzisiejszego punktu widzenia trochę śmieszne przygody. Dochodzimy do jednej wsi i przed wsią już widać, stoi kilku żołnierzy, tak jakby... Kilku rosyjskich żołnierzy stoi. „Wy Polaczki?” „Tak, Polaczki” – „Wot, haraszo” [to dobrze]. „Padażditie” [poczekajcie]” Więc zaczekaliśmy chwilę. Przyszedł jakiś oficer, któryś z nich polecił w oficera, przyszedł oficer, „Wy Polaczki?” – „Polaczki”. „Wot, haraszo.” „Zdies budzietie mieszkat” [tu będziecie mieszkać]. My mówimy, że my chcemy iść do Polski. Zdies [tutaj] Polska. Okazało się, że my weszliśmy, już przekroczyliśmy obecną granicę Niemiec i weszliśmy na obecne ziemie odzyskane. Czyli na obecny teren Polski, ale dawny niemiecki. „Zdies Polska, wy budzietie zdies mieszkat” [Tu jest Polska, tu będziecie mieszkać]. My tłumaczymy, że my się nie znamy na gospodarstwie rolnym. „Niczywo”, zaprowadził nas do jakiegoś gospodarstwa rolnego, piękne zabudowania. W stajni nawet koń był zdziwały, nie pozwalał do siebie podejść, walił kopytami. No, jakiś tam drób jeszcze był. Wszystko w tym domu. Pościel, garnki, meble. No, wszystko, pierwszorzędnie urządzone gospodarstwo. I ten oficer mówi: „My mamy zasiedlać, zdies [tutaj] Polska, to są wasze tereny. „My mamy obowiązek zasiedlać, żeby tu nie było pusto i wy tu zostaniecie”. My tłumaczymy, że my chcemy do Warszawy, że my się nie znamy na rolnictwie. „My nie umiemy prowadzić gospodarstwa”, „Niczywo”, budziet haraszo” [będzie dobrze]. No i poszedł, kazał nam tu zostać. Więc my zostaliśmy, kobiety zaczęły kombinować. Były u nas chyba trzy kobiety, albo cztery. Bo matka, Ruda, jeszcze dwie koleżanki i ja. Zaczęliśmy kombinować, co tu robić, ale za chwilę przyszło paru żołnierzy radzieckich. Przynieśli nam chleb, konserwy, żebyśmy sobie pojeśli. I potwierdzają, że mamy tu zostać i prowadzić gospodarstwo. No więc na razie zostaliśmy, bo dostaliśmy wreszcie coś do zjedzenia. Zaczęliśmy kombinować, że może się uda przenocować, a potem gdzieś uciekniemy. No, ale wieczorem zrobiło się zupełnie wesoło. Słyszymy z daleka śpiewy, radosne, męskie. Idzie kilku żołnierzy radzieckich. Przyszli do nas, zaczęli rozmawiać, wesoloty. No, ale jak się okazało, przyszli w zaloty, że tak powiem. Chcieli po prostu gwałcić. No, więc uciekliśmy. To znaczy kobiety uciekły, ja pamiętam, że uciekłem też, bo już byliśmy wewnątrz tego domu. Uciekłem, schowałem się na podwórku, było już ciemno, pod ławkę. Kobiety puciekały, gdzie mogły, gdzieś w pola w kartofle, czy w jakieś tam inne uprawy. I tak czekaliśmy do rana. Następnego dnia zdarzyła się taka rzecz. Siedzieliśmy przed domem, już mieliśmy spokój, bo oni zajęci byli, ci Rosjanie, żołnierze nie podchodzili w dzień. I kombinowaliśmy jak to z tej sytuacji wybrnąć. I patrzymy, z oddali na horyzoncie widać spadający, płonący samolot. Ale on płonął, ale takim lotem ślizgowym leciał, przyleciał w pobliżu i gdzieś tam za horyzontem spadł. No i za kilka godzin dosłownie przychodzi do nas oficer radziecki z ręką na temblaku i okazuje się, że to pilot tego samolotu, który spadł. I zaczyna z nami rozmawiać. Mówi, że dowiedział się, że tu są Polaczki i przyszedł porozmawiać. Bardzo uprzejmy, miły człowiek. I mówi, że on nie został stracony, tylko na skutek jakiejś awarii zapalił mu się silnik, gdzieś tam w pobliżu wylądował. Ale lądując awaryjnie, złamał sobie rękę. Więc opatrzyli go prowizorycznie i on tutaj w tej jednostce wojskowej u tych Rosjan musi czekać na transport, aż go zabiorą do właściwej jednostki. No i zaczął z nami rozmawiać. Tam kobiety mu zrobiły herbatę, bo okazuje się, że bardzo miły, przyjemny człowiek.

No i zaczęły mu się zwierzać, że muszą tu przymusowo siedzieć, bo tak im kazano, nie wypuszczają stąd, a do tego jeszcze wieczorami chcą tutaj gwałcić i tak dalej. I ten pilot mówi: „To ja do was wieczorem przyjdę. Wy siedźcie, róbcie co zwykle, normalnie, a ja tu do was przyjdę”. I faktycznie przed wieczorem przyszedł. Kobiety mu zrobiły herbatkę i on siedział tam, gaworzył z nami. I oczywiście jak się zaczęło ściemniać, słysząc radosne śpiewy. I zasuwają zalotnicy. Weszli do tego domku i jak weszli, zobaczyli oficera lotnictwa, taka dygresja, to zauważyłem w owych czasach, że ludzie radzieccy, zwłaszcza żołnierze radzieccy, szczególnym respektem darzą pilotów. Nie wiem z czego to wynika, ale innych oficerów to traktują różnie, a pilot to jest pilot, to jest panisko. Jak zobaczyli ci zalotnicy tego pilota, zatrzymali się zdumieni. W progu jeden odważniejszy, przepraszam, że przytoczę dosłownie jego wypowiedź, ale zdumiał się i takim pochlebnym tonem do tego oficera mówi: „Towarzysz lejtnant toż poeb[...]t przisoł?” [towarzysz porucznik także poj[...]ć przyszedł]?”. A ten lejtnant jak zerwał się na nogi, złapał za pistolet i jak zaczął objeżdżać tych żołnierzy, a zjechał ich jak psów i wygonił. Wyjął pistolet, nawet grożąc, że użyje broni. No i ci żołnierze szybko zaczęli przepraszać i oddalili się. Ten pilot został, jeszcze posiedział z nami i mówi, że: „Jak tylko się ściemni, to wy uciekajcie”. Poinformował nas, w którym kierunku iść, żeby ominąć ewentualne jakieś tam placówki jeszcze wojskowe. A faktycznie jak się ściemniło, myśmy zebrali cośmy mieli i uciekliśmy stamtąd. Uciekliśmy z deszczu pod rynnę. Po paru dniach już na terenie polskim zatrzymuje nas wojsko, tym razem polskie mundury, polska mowa. Przywitali się serdecznie, uprzejmie i jak zobaczyli, że nas tam było trzy, to nasze towarzystwo wykruszało. Ale na pewno była matka i była ta Halina i jeszcze chyba jakaś trzecia Polka, bo jedna się... Reszta się odłączyła gdzieś. I ci żołnierze proponują, że oni tutaj mają kwaterę w pałacu, w jakimś gospodarstwie ziemskim, że mają tam kwaterę i potrzebne im są kucharki, bo mają całe gospodarstwo ziemskie, bydło, drób, wszystko. Żarcia do oporu, a nie ma kucharek i sami muszą gotować. No i myśmy się zgodzili. I co? Dostaliśmy mieszkanie w autentycznym pałacu, piękne meble, bogactwo niesłychane, naczynia stołowe, serwisy, a wszystko, kuchnia bogato wyposażona, produktów do czorta, mięso, kartofle, jajka, masło, cukier, no, wszystko, co dusza zapagnie. W ogóle to gospodarstwo ziemskie, ten folwark nie był tknięty wojną, bo to był folwark na terenie dawnych Niemiec, a teraz na ziemiach odzyskanych, czyli ziemiach polskich, a więc nasz już, a ponieważ był w czasie wojny na terenie niemieckim, to nie był niszczone. No i zostaliśmy tam, ale pięknie to wyglądało na początku. To była jakaś przedziwna jednostka wojskowa. Z dzisiejszego punktu widzenia, jak już mam pewną wiedzę wojskową też, to domyślam się, że to były resztki rozbitych jednostek wojskowych wycofanych z frontu dla odpoczynku i przeformowania. Bo tam byli tak, i Rosjanie, obywatele radzieccy z rozmaitych republik radzieckich, Azjaci, Rosjanie autentyczni, Polacy, wśród kadry oficerskiej też byli Polacy i Rosjanie, i czort wie kto. I to wszystko pięknie wyglądało w dzień, jak oni mieli jakieś zajęcia. Ale z chwilą, kiedy nastąpiła noc, to robiło się istne piekło. W tych ludziach odżywały jakieś emocje wojenne, jakieś krzywdy i autentyczne, i domniemane, jakieś zatargi. Robiło się koszmarnie pijaństwo, strzelanie do siebie, bicie się. To był taki Meksyk, że to trudno sobie wyobrazić. To oficerowie, wszyscy, Polscy, radzieccy na noc chowali się po różnych zakamarkach, a nawet w pole chodzili i spali gdzieś tam w krzakach w polu. My jak już się zorientowaliśmy, co się święci, to też szukaliśmy na noc gdzieś schronienia poza tym pałacem. Istne piekło się robiło. No, ale żarcia była do oporu. My byliśmy wygłodzeni, to odżywkę taką sobie robiliśmy. Do dzisiaj pamiętam, brało się tak: robiło się kogel-mogel ze świeżych jajeczek, do tego wkładało się trochę masła, do tego wsypywało się kakao, cukru, mieszało się to i taką słodką, tłustą, zdrową masę jedliśmy to łyżkami i rzeczywiście się odżywiłmy dzięki temu. No, ale niestety nie dało się tam żyć. Wśród radzieckich, rosyjskich był jeden mężczyzna, któremu zawdzięczamy życie i który był szczególnym człowiekiem. To był jakiś Sybirak. Nazywaliśmy go Sasza. Jak on się naprawdę nazywał, to czort go wie, ale on tolerował to imię. Tak go nazywaliśmy. Ogromny jak niedźwiedź. Chłopisko przeogromne. Dobrotliwy, spokojny. Przy nim się mogło wszystko walić i palić. Mogli się bić, rżnąć. Jego to nic nie ruszało. Jego nikt nie

zaczepiał, bo go się wszyscy bali. I on codziennie przychodził na kuchnię, bo miał szczególne upodobania kulinarne. Codziennie przychodził na kuchnię i prosił o mięso. Więc moja mama doświadczona kulinarnie, wiedziała, że surowe mięso wieprzowe może być niezdrowe. Dla niego zawsze trzymała kawał dobrej wołowiny, polędwicy wołowej. Jak Sasza przyszedł, to dawała mu kawał tej polędwicy wołowej. On siadał gdzieś sobie z boczku w kuchni przy stole. Bagnetem ciął tę polędwicę na plastry, przekładał cebulą i taką surową jadł. Ponieważ go szalenie lubiliśmy, bo przy nim czuliśmy się bezpiecznie. Tam gdzie był Sasza, tam nikt nie podskoczył. Wszyscy inni żołnierze go omijali. Więc matka kiedyś chciała mu zrobić z wdzięczności jakąś przyjemność, ugotować specjalnie dla niego budyń. Tego budyń. Sasza wsadził palec, posmakował. Ponieważ był bardzo grzeczny i uprzejmy, mówi do matki: „Eto oczeń wkusne, oczeń wkusne, no, ja nie magu”. I oddał ten budyń z powrotem, ale grzecznie się wytłumaczył, że to bardzo dobre, tylko on nie może tego jeść. Bo nie może. I dalej mięcho wcinał. I dzięki jego nawykom kulinarnym, i pocziwemu charakterowi, przeżyliśmy. Bo słuchajcie panowie, jak mówiłem, noc zamieniała się w orgie i piekło. Kiedyś grupa żołnierzy, czort wie już jakiej narodowości, jak się spiła, jednego kolegę, który się najprędzej spił, obleli melasą, rozpruli pierzynę i wsadzili go w tę pierzynę. I zostawili tak. I facet, jak się rano obudził i zobaczył jak wygląda, to wpadł w szat. I domyślił się od razu, że to koledzy, z którymi pił tak go urządzili, bo wyglądał jak pingwin. Złapał pepeszę i zaczął latać po tym całym obiekcie i szukać swoich kolegów, z którymi pił. I latał wszędzie, strzelał w powietrze 00:44:27.611 --> 00:44:33. i krzyczał „Kuda ani, Kuda ani” [dokąd oni poszli], i w tym pędzie wpadł na kuchnię. Myśmy o niczym nie wiedzieli, co się zdarzyło. Ale jak wpadł taki opierzony człowiek z pepeszą w rękę, pysk cały opierzony do tego, wpadł na kuchnię, rozejrzał się i „Kuda ani”. My zdziwieni, przestraszeni, i mówimy, że nie wiemy o co chodzi. To on serię po suficie puścił „Kuda ani”. Szczęściem akurat Sasza siedział gdzieś tam w końcu i wcinał tę wołowinę. I jak on powtórnie puścił serię, już z taką wyraźną groźbą do nas, dlaczego my mu nie mówimy gdzie tamci są, Sasza skoczył, ale taki skok to naprawdę tygrys by się nie powstydził. Bo to ogromny chłop jak niedźwiedź, a skoczył naprawdę jak dzikie zwierzę. Skoczył do tego opierzonego, złapał za tę pepeszkę, wyrwał mu, drugą ręką przyłożył mu w głowę, aż tamten padł. I Sasza wtedy spokojnie rozładował pepeszę, wyrzucił ją przez drzwi. Tego awanturnika też za kołnierz wziął, wyrzucił z kuchni i wrócił. Ale niestety Saszy to nie przeszło tak całkiem bezboleśnie. Bo jak złapał lewą ręką za lufę, przy wylocie, to ten mały paluszek był akurat na wylocie pocisków, w momencie, kiedy tamten strzelił. I Sasza popatrzył na ten palec, dyndał mu tylko tak na kawałku skóry. Podeszedł do pieńka do rąbania mięsa, wziął siekierę, przyłożył palec, pierdut. Siekierką uciął, zawinął sobie chustą. „No i ja pajdu” – i poszedł. Także ten kurort to nam trochę bokiem wychodził i dlatego stamtąd uciekliśmy też. Tak jak z pierwszej tej siedziby, gdzie nas przymusowo osiedlono, z drugiej uciekliśmy i stamtąd. To znaczy pomógł nam jeden z polskich oficerów, bo tam się takie dzikie rzeczy działy, że dogadywaliśmy się z tymi polskimi oficerami, żeby nam jakoś pomogli odejść. Więc dogadywaliśmy się z oficerami polskimi, żeby jakoś ułatwili nam wyrwanie się stamtąd. I faktycznie kiedyś jeden z polskich oficerów powiedział, że ma rozkaz samochodem ciężarowym jechać do jakiejś oddalonej dosyć miejscowości, skąd jest połączenie kolejowe i że może nas zabrać, żebyśmy po cichu, jak on wyjedzie z terenu tego majątku, żebyśmy gdzieś po drodze tam byli, to nas zabierze i zawiezie do tamtej pobliskiej miejscowości i stamtąd będziemy mogli dalej starać się dostać do Warszawy. I faktycznie tak zrobiliśmy. On nas wywiózł do jakiegoś miasteczka, skąd było już połączenie kolejowe w kierunku Warszawy. No i dojechalśmy pociągiem do Warszawy. Wtedy jeździło się dosyć tak nietypowo jak na dzisiejsze czasy, bo jeździło się na stopniach, na dachu wagonów, jak się da, wsiadało się przez okna. W każdym razie do Warszawy dojechalśmy, przy czym towarzystwo się rozłączyło, bo każda z naszych koleżanek miała już inny kierunek na uwadze, bo z różnych miast byliśmy, ale my z matką dojechalśmy do Warszawy. No i stanęliśmy, w zasadzie staliśmy się bezradni, bo tak, nasz dom już był kompletną ruiną. Do znajomych gdzieś o nocleg nawet nie było co prosić, bo panowie

sobie nie wyobrażają, jak się wtedy mieszkano, jak się nocowało. Ludzie spali na szafach, na podłodze, pod stołem, na łóżku, ile się osób zmieściło, tyle na łóżku. To były straszne warunki, bo nie było mieszkań, wszystko było w ruinie. W każdym razie myśmy tam u jakichś znajomych zdołali przenocować i doszukaliśmy się znajomych jeszcze z okresu przedwojennego. Dowiedzieliśmy się, że moja babka, matka matki, która została w naszym mieszkaniu na Starówce, zginęła. Bo jak były naloty, babka, tak jak większość mieszkańców schroniła się w podziemiach kościoła sakramentek, to jest kościół pod wezwaniem świętego Kazimierza, obecnie istniejący. Schroniła się tam w podziemiach, a ten kościół został zbombardowany i wszyscy zginęli. Ja do dzisiaj nie wiem, gdzie jest moja babka pochowana, bo podobno w okresie powojennym, jak ekshumowano miejsca pochówku, miejsca gdzie zginęli ci ludzie, to wszystkich wywożono do mogiły zbiorowej, gdzieś na Woli jest ta mogiła zbiorowa. Tak że ja szukałem, ale niestety nie wiem, bo nie było można zidentyfikować, bo jeżeli ktoś miał przy sobie dokumenty i go zidentyfikowano, to w tej zbiorowej mogile też jest wyróżniony z nazwiska. Natomiast jeżeli ktoś nie miał żadnych dokumentów, to jako nieznany został pochowany w zbiorowej mogile i moja babka przypuszczalnie gdzieś tam na Woli też jest pochowana... No i ponieważ nie mieliśmy żadnego punktu zaczepienia tu w Warszawie, bo dosłownie ani pracy, ani mieszkania, dowiedzieliśmy się, że na ziemiach odzyskanych można łatwo się zahaczyć, że tam można dostać mieszkanie, można dostać pracę i tak dalej. I wyjechaliśmy z matką do Jeleniej Góry, i faktycznie Jelenia Góra nie była w ogóle zniszczona. Można było chodzić po mieście i po okolicznych wioskach i wybierać sobie dowolne mieszkanie, tylko należało do urzędu repatriacyjnego zgłosić, że się obejmuje w posiadanie jakieś mieszkanie, czy nawet cały dom. Do mieszkania się wchodziło, w mieszkaniach było wszystko, pościel, garnki, meble i to wysokiej klasy, wszystko w dobrym gatunku. W szafach polskie ubrania gotowe z polskiej bielskiej wełny, bo Niemcy rabowali, kradli na potęgę, wszystko, co dobre. Polskie wełny produkowane w Bielsku były sławne na cały świat, dlatego za rządów poprzedniej ekipy tę fabrykę tkanin wykupiły jakieś firmy zagraniczne jako konkurencję. Ale ja mam garnitur jeszcze z bielskiej wełny, tylko już się w niego nie mieszczę. Także w tamtych mieszkaniach te bielskie wełny i ubrania z tych wełen były bardzo popularne. I wystarczyło wziąć dowolne mieszkanie w posiadanie, zgłosić, że biorę w posiadanie, uzyskiwało się meldunek i już się mieszkano. Także bardzo wygodne to było. I mama dostała do dyspozycji cały budynek w samej Jeleniej Górze. W tym budynku, taki typowy czynszowy budynek wielokondygnacyjny. I w tym budynku były w piwnicy zgromadzone zbiory z miejscowego muzeum. Ja, jak się zadomowiliśmy, odnalazłem..., penetrowałem ten budynek, wchodziłem, patrzyłem, co tam jest i znalazłem te zbiory. W piwnicy leżały tego całe sztosy, piękne szable inkrustowane drogimi kamieniami, broń palna jeszcze, ta skałkowa, czarnoprochowa, broje, coś przebogatego. Jak się oswoiłem z okolicą i poznałem kolegów zza płota, to z piwnicy brałem szable wysadzaną perłami, albo czymś takim, rzucałem przez płot koledze: „Chodź, się pobijemy trochę na szable”. Rozkosz. Tylko były i minusy. Mianowicie, miasto było wyludnione, na całej ulicy mieszkaliśmy tylko my w tym ogromnym budynku. Szabrowników do czorta i trochę. Bo w owym okresie ci ludzie z centrum Polski, cwaniakowaci, złodziejowaci, jeździli celowo na te ziemie odzyskane, żeby tam rabować to, co jest pozostawione przez Niemców i przywozić tutaj. Więc ci szabrownicy byli dosyć agresywni, tak że na noc trzeba było się zamykać i żyć w ciągłym strachu znowu. No i matka zrezygnowała z tej... Z dozorczy tego budynku. Bo matce zlecono jeszcze, żeby tam zorganizowała punkt zbiorczy dla zabłąkanych dzieci, osieroconych. Ale z tego nic nie wyszło. I matka postarała się o zmianę naszego miejsca zamieszkania i zamieszkaliśmy na takiej wsi Raszyce, która właściwie była przedmieściem Jeleniej Góry. Ona do dzisiaj istnieje, do dzisiaj się nazywa Raszyce, chyba. I tam zamieszkaliśmy w takim domu należącym do gospodarstwa rolnego. Myśmy zajmowali górę, a na dole mieszkała rodzina repatriatów ze Lwowa, którzy tam prowadzili jakąś gospodarkę rolną, a my mieszkaliśmy na górze. I już byliśmy o tyle bezpieczni, że mieliśmy polską rodzinę w pobliżu, nie musieliśmy się ciągle bać.